

- Ojczy, nie można zmienić przeszłości, ale cokolwiek było, co Ty zepsułeś, ja swoim życiem staram się naprawić...

Wychowany na Sienkiewiczu młodzieniec doświadcza na sobie wszystkich ciężarów życia w PRL. Trafia do wojska, później na lokomotywę. W wieku lat trzydziestu zostaje regionalnym i krajowym przywódcą związkowym, prawie trzy lata spędza w więzieniu i ponad dwadzieścia lat na emigracji w Ameryce. Wraca i wydaje książkę o wielkim wybuchu „Solidarności”. Jakim językiem będzie to pisane? Odpowiedź daje zacytowane wyżej zdanie.

Romantyczny przywódca

z **Andrzejem Rozpłochowskim** rozmawia [Andrzej Jarczewski](#)
(miesięcznik „Śląsk”, grudzień 2011)

- Panie Przewodniczący. W roku 1981 należałem do Pańskich szczerých przeciwników, ale był Pan wtedy przewodniczącym Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego (MKZ Katowice), a ja - szeregowym członkiem „Solidarności”. Pozostaję więc przy ówczesnej tytułaturze.

- Jest to trochę krępujące, ale i staropolskie. Tytuły, uzyskane w I Rzeczypospolitej, zachowały się w mowie i piśmie również po rozbiorach, nawet jeżeli nie wiązały się z nimi żadne urzędy. Teraz jesteśmy państwem niepodległym, więc jednak z tego zrezygnujemy.

- Tak czy owak, mam do Pana pretensję, że napisał Pan tę książkę w formie dzieła dokumentarnego. Tymczasem i epoka, i ludzie, i ich dramaty aż proszą o epopeję. O powieść.

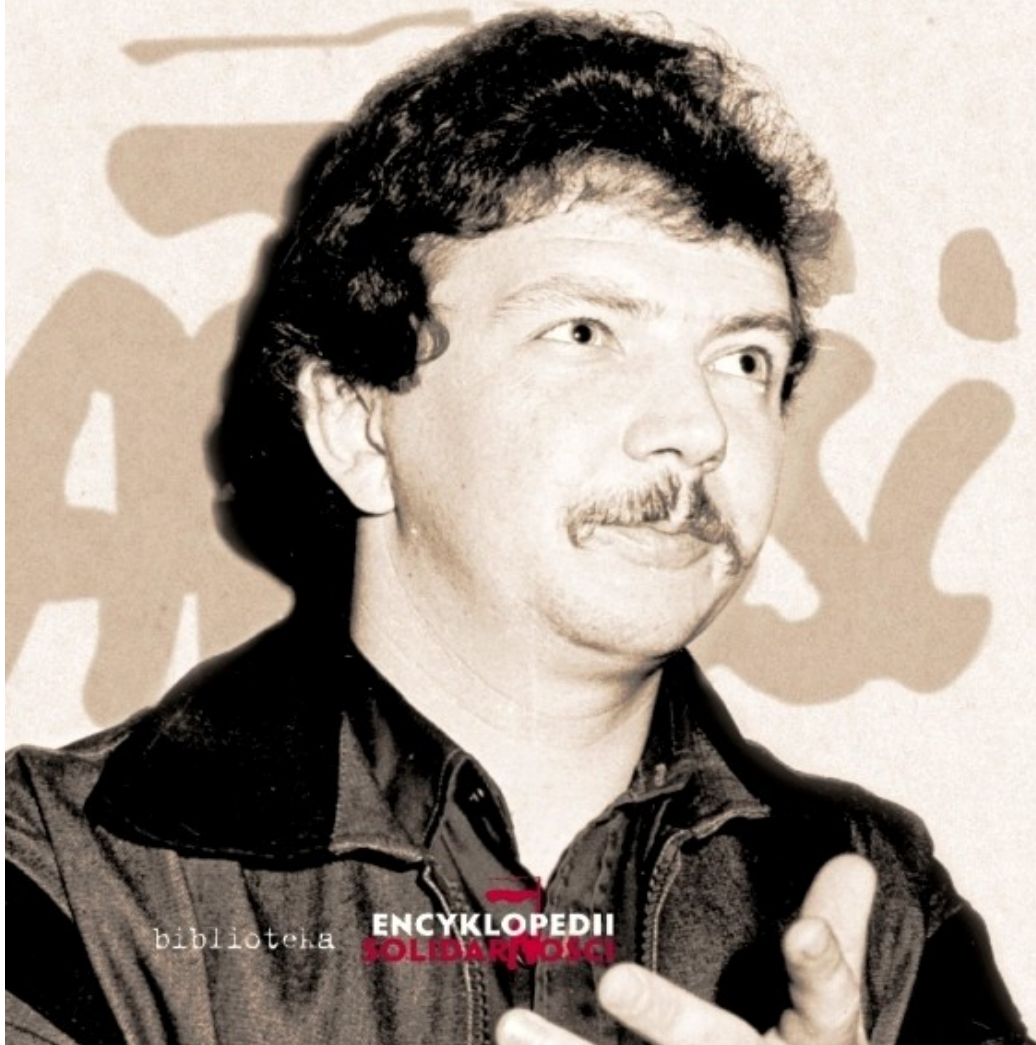


- Takie epopeje literackie czy filmowe na pewno powstaną, ale na to trzeba czasu, mierzzonego niekiedy pokoleniami, czego przykład daje nam ostatnio „Bitwa Warszawska 1920”. Najpierw muszą ukazywać się różne dokumenty, relacje świadków, dyskusje, polemiki, nawet potępienia, by później autor nie budował opowieści na historii zakłamanej.

Wydaną teraz książkę pisałem przeszło dwadzieścia lat temu w USA, gdy nie miałem dostępu do archiwów bezpieki. Wszystko jest oparte na świeżej jeszcze pamięci i na dokumentach, którymi tam dysponowałem. Wydawca zadbał jednak, by ostateczny tekst został przed drukiem naukowo zweryfikowany i w paru miejscach zmieniony lub rozszerzony. Między innymi - już niemal w drodze do drukarni - dodałem cenne fragmenty wspomnień Jacka Jagielki, jednego z założycieli katowickiej „Solidarności”. Mam nadzieję, że publikowane będą również relacje innych działaczy.

Andrzej Rozpłochowski

Postawią ci szubienicę...



- Mówiąc o epickim charakterze Pańskiej książki, mam na uwadze rzadkie w tego rodzaju dziełach, długie wprowadzenie z opisem dzieciństwa i ówczesnych warunków życia.

- Nie jest ono takie długie. Raptem 40 stron. Książkę moją w taki właśnie sposób zamierzałem rozpocząć: od ukazania dzieciństwa, rodziny i naszego życia. Pragnąłem pokazać czytelnikowi rąbek mojego codziennego życia, aby wiedział, że w sierpniu 1980 roku nie wziąłem się z księżycą. Przeszedłem drogę, która doprowadziła mnie do przywództwa. I choć jeszcze 29 sierpnia 1980 nic nie zapowiadało, że już od następnego dnia będę podejmował decyzje o tak wielkim ciężarze, uważam, iż nie był to przypadek, ale wynik Bożego prowadzenia przez minione wcześniej losy mojego życia, które nie zawsze umiałem właściwie ocenić.

- Jakiś przykład?

- Gdyby spełniły się moje młodzieńcze plany o liceum i studiach, nie byłoby mnie w Hucie Katowice i nie byłoby tamtego mojego wkładu w dzieło tworzenia „Solidarności”. Pokazałem więc w książce długą „drogę pod górkę”, bo jest w tym moc nadziei. To może przydać się dzisiaj innym młodym ludziom, którym przez całe lata „nic” się nie udaje. Przychodzi jednak dzień, że twoje niechciane, zdobywane największym trudem kwalifikacje, umiejętności i doświadczenia nagle stają się potrzebne i służą dobrej sprawie.

- Jeszcze przez chwilę zatrzymam się przy języku, bo nawet teraz używa Pan „mowy wysokiej”. Inwersje, zdania wielokrotnie złożone, ale zawsze poprawne, skomplikowany miejscami wywód, ale prowadzący do jasnych wniosków, retoryka rodem z dziewiętnastowiecznych powieści „ku pokrępieniu serc”. Robotnicy tak nie piszą.

- Piszą. Czytałem lepszych stylistów ode mnie, choć nie ukrywam, że staram się opowiadać w miarę sensownie i poprawnie. Temu zagadnieniu też poświęcam fragment książki. Czytałem dużo więcej niż wymagano w szkole, a umiejętność pisania wielokrotnie przydawała się w życiu. Nawet w wojsku. Teraz zdania są wystarczająco krótkie? :-)

- **Ja pozostaję pod wrażeniem wprowadzania do opowieści postaci Kazimierza Świtonia. Początkowo jest to dla Pana wielki człowiek, wyrocznia w sprawach związkowych i politycznych, a później pokazuje Pan, jak Świtoń powoli schodzi z piedestału, staje się coraz mniejszy i mniejszy, a w końcu znów rośnie, już nie jako wielki autorytet, ale... wielki szkodnik?**

- Nie oceniam jednoznacznie osoby. Piszę o czynach, a te bywały bardzo nikczemne. W pewnym momencie nawet trochę prowokuję Kazimierza Świtonia, by zechciał opublikować własne wspomnienia; dysponuje wszak bezcennymi dokumentami, które powinny ujrzeć światło dzienne. Byłoby dobrze, gdyby wskazał choć jeden błąd w mojej książce, bo mógłby w ten sposób poprawić historiografię. Zdaję sobie sprawę, że na razie na rynku wydawniczym, gdy mówimy o historii śląsko-dąbrowskiej „Solidarności”, istnieje tylko moja książka i szereg naukowych przyczynków profesjonalnych historyków. Moim celem nie jest narzucanie jedynie słusznej interpretacji historii. Wykonałem tylko swój obowiązek i oczekuję, że inni się od tego nie uchylą.

- **Drugą postacią, wprowadzaną powoli, z licznymi suspensami i szokującym finałem jest... Pana ojciec. Odrzuca Pan modną ostatnio literacką figurę „peerelowskiego ojca”, zastępującą pisanie wprost o opresyjnym PRL-u, przenoszącą potępienie z komuny na rodzinę jako taką.**

- Nie kieruję się modami literackimi. Zdaję szczerą relację w książce i jakoś muszę z tym żyć. Tak, ojciec cztery lata pracował w UB. Dowiedziałem się o tym dopiero w roku 1981 z ulotek, rozprowadzanych przez bezpiekę. Ale dowiedziałem się też wtedy, że rodzina nie stanowi świętości dla zbrojów, że komuniści wydobędą spod ziemi lub spreparują każdą rodzinną tragedię, by niszczyć człowieka. To mnie przygotowało na dalsze ciosy...

- **...dotyczące Pańskiej żony?**

- Przyszłej żony. Ale ona, wbrew pozorom, tak naprawdę zasługuje na podziw i uznanie, bo jak niewielu innych na jej miejscu, prędko odzyskała swoją godność. Samotnie powstała z kolan, aby – po chwilach załamania na więziennych przesłuchaniach – mądrze i zdecydowanie potężnemu aparatowi komunistycznej przemocy odmawiać współpracy. Dramat ten nie ma nic wspólnego z moją książką, której ramy czasowe zamyka wprowadzenie stanu wojennego, ale dzisiaj istnieje pewne zapotrzebowanie na czarny piar, więc jest on realizowany. Również krzywdzące żonę insynuacje idą w świat, więc musimy i ten ciężar dźwigać. A Czytelników „Śląska” informuję, że w stanie wojennym młodzieńca Barbara była internowana i tam – kompletnie niedoświadczona – poddana brutalnej psychicznej opresji najpierw zachowała się tak, jak wiele innych osób: nierozsądnie. Zeznawała zgodnie z prawdą na temat legalnej działalności Związku, choć akurat żadnych istotnych informacji nie posiadała. Zamknęli ją ze względu na znajomość ze mną, a ja później – wraz z sześcioma innymi przywódcami „Solidarności” – jeszcze i tak dwa lata siedziałem w więzieniu na Rakowieckiej bez wyroku, pod zarzutem „zbrodni spisku w celu obalenia przemocą ustroju” (śmiesznie to dziś brzmi, ale wtedy nie było tak wesoło, bo orzekano jeszcze karę

śmierci, choć już jej nie wykonywano). Tak więc ja Basi zaszkodziłem realnie, a ona mi i – z tego co wiem – tak naprawdę nikomu innemu nie zaszkodziła w żaden sposób. Po amnestii z roku 1984 wróciłem do domu i... wzięliśmy ślub. Tu jednak inna okoliczność wymaga wskazania. Otóż nieszczęście mojej żony (owszem – zawinione) służy ludziom nikczemnym tylko do płamienia mojego wizerunku. Jakoś nikt do tej pory nie zwrócił w tym kontekście uwagi, jak niezmiernym „imperium zła” był PRL. Jak strasznych narzędzi użyto przeciwko ludziom. Ten przykład, osobiście przeze mnie przeżyty i przecierpiany, powinien być dla każdego ostrzeżeniem zarówno przed komunizmem, jak i przed ukrywaniem jego zbrodni. Bo się powtórza.

- Kwestia „czarnego piaru” może być bardzo interesująca dla młodszego pokolenia, które nie zdaje sobie sprawy, jak gigantyczne siły i środki koncentrowano na Pana osobie. Donosy zbierano od setek osób. Manipulowano środkami przekazu, obstawiano Pana agentami.

- Ten fragment książki – zgodnie z układem chronologicznym – znalazł się pod koniec tomu, więc obawiam się, że niektórzy dziennikarze, kontynuujący obecnie wylewanie pomysł, nie wiedzą nawet, że są tylko nieświadomymi wykonawcami zadań, zaplanowanych przez SB i wdrożonych już trzydzieści lat temu. Wtedy właśnie bezpieka wprowadzała do obiegu różne fałszywki szeptane i drukowane. Niektóre się zachowały i mogłem je zamieścić w części dokumentacyjnej. Natomiast dyspozycyjnym dziennikarzom kazano używać względem mnie takich terminów, jak: „śląski watażka”, „oszołom”, „radykał”, „wróg klasowy” itd. Nie wracałbym do tego, gdyby wspomniana terminologia nie była podtrzymywana przez epigonów tamtej partyjnej strategii do dziś.

- Jak już jesteśmy przy strategii zniesławiania, przypomnę pytanie, które ostatnio zadała Panu pewna dziennikarka, a Pan nie udzielił odpowiedzi. To pytanie brzmi: „Za co Pan tak nienawidzi Wałęsy?”.

- Otóż odpowiedzi udzieliłem, tylko jej nie wydrukowano. Problem polega na tym, że „zlecenie na Rozpłochowskiego” wykonała tym razem osoba niezdolna już nie tylko do przeczytania całego tomu ze zrozumieniem, ale taka, która w ogóle nie operuje kategoriami właściwymi dla przedmiotu książki. Jeżeli do poważnych problemów historycznych ktoś przykłada psychologię magła, to znaczy, że używa centymetra krawieckiego do mierzenia równika w poprzek. Moja książka jest opisem faktów i do jej oceny potrzebne są mierniki prawdy o faktach, a nie o aparacie pojęciowym pani redaktor. Na szczęście – inne recenzje i wzmianki prasowe miały profesjonalny charakter, choć nie wszystkim podoba się to, co piszę.

- A Wałęsa?

- Wałęsa jest dla całego świata wielkim przywódcą „Solidarności” i takim pozostanie. Natomiast obowiązkiem świadków historii jest właśnie dawanie świadectwa: i wielkości, i małości. Dziś, kiedy już wiemy, jak potężny aparat był użyty do skłócania czołowych działaczy związkowych, nie dziwię się, że Wałęsa od pierwszych dni – bez absolutnie żadnego powodu – starał się mnie marginalizować. Byłem wtedy entuzjastycznym wręcz zwolennikiem Wałęsy, bo miałem o nim tylko takie wiadomości, jakie nadawała „Wolna Europa”. Natomiast rodzi się w tym miejscu pytanie: jakie i skąd wiadomości otrzymywał Wałęsa... o mnie. Byłoby dobrze, gdyby przypomniął sobie sam początek. Późniejsze dzieje opisuję bardzo dokładnie, ale to już jest tylko opis lawiny. Tak jak w przyjaźni, a nawet w miłości: jest bardzo dobrze, dopóki nie pojawi się

jakaś zadra. A jeśli ktoś nad tym pracuje, by wzajemna niechęć rosła? A przecież pracowali! Bez żadnych skrupułów. Niesamowicie skutecznie. W paru miejscach pokazuję też, że wiele działań, a zwłaszcza zaniechań Wałęsy wynikało nie z troski o „Solidarność”, ale o to, żeby nie stracić przywództwa. W tym był mistrzem niewątpliwym. Nie był lokomotywą związku. Woził się. Moja opinia nie zmieni jego historycznej roli. Wygłaszał świetne przemówienia. Miał dobry kontakt z ludźmi. Wielu szczerych działaczy dosłownie realizowało to, o czym on tylko mówił. Czasami to wystarczało, bo symbol nie musi nic robić. Symbolem wystarczy... być. I w tej roli Wałęsa wypada wspaniale. Rewelacyjnie!

- Jeśli podziwiam styl Pańskiej książki, dziś już niespytykany, drażni mnie to, na co zachorował i Wałęsa, i Pan, i wielu innych dawnych wodzów, nie wyłączając - za przeproszeniem - Jaruzelskiego. Otóż wszyscy nadal mają rację! Przynajmniej tak twierdzą. Czy nie uważa Pan, że w paru miejscach należałoby powiedzieć: „przepraszam, tu się pomyliłem”.

- Ależ myliłem się setki razy. Piszę o tym wielokrotnie, a drugi tom, który wyjdzie w styczniu, może w lutym, będzie niemalże spisem moich błędów. Rozumiem jednak, że w tym pytaniu nie chodzi o codzienne pomyłki, ale o zasadnicze błędy polityczne. I z tym jest poważniejsza trudność, bo przecież istnieje wiele równorzędnych prawd historycznych, zwłaszcza gdy dotyczą one możliwości niesprawdzonych. Główny problem „Solidarności” sprowadzał się do tego, czy mamy razem z komunistami wyciągać kraj z kryzysu, czy: dążyć do usunięcia przyczyny kryzysu, czyli komunizmu (ze świadomością tego, co się dzieje na Wschodzie i na Zachodzie). Istnieją bardzo poważne argumenty na rzecz obydwu koncepcji i ich nie-

zliczonych wariantów szczegółowych. Przerzucanie się tymi argumentami mogłoby zająć dziesięć tomów albo i sto. Moim zadaniem było przedstawienie działań MKZ-etu Katowice i szczerze uzasadnienie tego, co robiliśmy.

- W największym skrócie...

- Polegało to na wyrywaniu komunie różnych przyczółków, bo jeśli nawet miałyby się to skończyć klęską w wymiarze politycznym - już nigdy komunie nie uda się odwojować tych okrucich czy ziaren wolności, które zdążą w ludzkich sercach zakiełkować. Dziś wiemy, że wprowadzenie stanu wojennego w żaden sposób nie zależało od polityki „Solidarności”. Związek miał być spacyfikowany, a odpowiednie przygotowania zatajono przed społeczeństwem i rygorystycznie realizowano. Gdybyśmy wtedy zdążyli wywalczyć mniej - stan wojenny ostatecznie i tak musiałby się rozpocząć 13 grudnia 1981, a Polakom trudniej by było coś osiągnąć, bo startowałyby z niższego pułapu wolności. Gdybyśmy zdołali posunąć się o krok dalej - stan wojenny i tak rozpocząłby się tego samego dnia. Mielibyśmy tylko mocniejsze przyczółki niepodległości. Szanuję argumenty przeciwne, dopóki to są argumenty, ale ich nie podzielam. Zwłaszcza dziś, kiedy nikt już nie ma wątpliwości, że system komunistyczny był - a np. w Korei Północnej nadal jest - jedną straszliwą fabryką zbrodni. Uciekaliśmy przed Koreą w PRL. Skutecznie.

- Kilka z tych przyczółków zdobył MKZ Katowice i Pan osobiście. Wymienię trzy, starannie udokumentowane w książce. 1 - ustalenie, że negocjujemy z władzami rządowymi z wykluczeniem instancji partyjnych. 2 - rozszerzenie lokalnych porozumień gdańskich, szczecińskich i jastrzębskich na całą Polskę. 3 - idea utworzenia jednego związku obejmującego cały kraj.

- Nie osobiście. Jako szef MKZ-etu miałem dużo do powiedzenia w Zarządzie, ale istotą naszej pracy była zespołowość. Nie za długie dyskusje i głosowanie, jak już był gotowy projekt stanowiska czy decyzji, aczkolwiek prawdą jest, że moim osobistym pomysłem była idea wyprowadzenia organizacji partyjnych z zakładów pracy. Dziś trudno sobie wręcz wyobrazić, że w każdym państwowym przedsiębiorstwie, na uczelni, w szkole, w milicji a nawet w prokuraturze i w każdym sądzie istniały POP-y, czyli podstawowe organizacje partyjne. Tak! Sędziowie należeli w ogromnej większości do partii komunistycznej i dokładnie realizowali jej jedynie słuszną, antypracowniczą politykę. Od każdego sądu rejonowego do Najwyższego. Niesamowite pasożytnictwo. I za to wyprowadzanie partii z zakładów komuniści nas znienawidzili. Bo tym jednym ruchem usuwaliśmy im ziemię spod nóg. Druga sprawa została niestety całkowicie w Polsce zapomniana. Otóż Wrocław, Rzeszów, Poznań a nawet Warszawa i cała reszta Polski nie była objęta Porozumieniami Sierpniowymi! To załatwiliśmy w Hucie Katowice. I trzecia rzecz. Gdybyśmy, jeszcze w Dąbrowie Górniczej, od pierwszych dni września 1980 roku, nie wypracowali koncepcji jednej, ogólnopolskiej organizacji związkowej - w starciu ze scentralizowaną władzą żaden lokalny czy regionalny związek zawodowy nie miałby szans. Prędzej czy później wszystkie takie słabe organizacje byłyby spacyfikowane. Tu znów muszę prosić o chwilę cierpliwości, bo metody rozwalania związku z zewnątrz i od wewnątrz będą dokładnie opisane i udokumentowane w drugim tomie za parę miesięcy.

- **W książce pojawia się mnóstwo nazwisk. Mam nadzieję, że stosowny indeks znajdzie się w drugim tomie. To jest konieczne w książce tej rangi. Tu (pomijając już tytuły)**

wymienię tylko osoby, o których pisze Pan z największą sympatią: Marek Gabryś, Stefan Kurowski, Janusz Krzyżewski, a z żyjących: Jadwiga Rudnicka, Jadwiga Chmielowska, Wiesław Chrzanowski, Jan Olszewski, Piotr Andrzejewski, Andrzej Czuma, Jan Łopuszański, Stanisław Kruszyński...

- O tak, takich wspaniałych ludzi, którzy we właściwym momencie stanęli na wysokości zadania nie było zbyt wielu, ale ta lista jest oczywiście w książce dłuższa, choć i tam - niepełna. Jeśli własnymi siłami radziliśmy sobie z problemami bieżącymi, to bez pomocy wymienionych adwokatów, ekonomistów i praktyków - MKZ byłby natychmiast zdławiony. To przecież dziełem wspomagających nas prawników był pierwszy w Polsce statut związku i szereg innych przełomowych dokumentów. Komuniści chętnie negocjowali z intelektualnie słabym MKR Jastrzębie, gdzie - jak już wiemy - mieli osadzoną agenturę, natomiast nas długo próbowano pomijać i zamilczeć. Mało znany jest fakt, że władze partyjne już przed Sierpniem były przygotowane do nieuniknionych niepokojów społecznych i w wielu miejscach instalowały własne komitety strajkowe lub przynajmniej wsadzały swoje wtyki. Tak było również w Hucie Katowice, ale tam właśnie ten pierwszy komitet został błyskawicznie obalony przez ludzi wystarczająco przytomnych, by zauważyć, co się święci. To było jedyne takie miejsce, w którym już w sierpniu 1980 roku, w czasie strajku, całkowicie usunięto podstawionych ludzi. Nowy komitet strajkowy był kompletnie niepodatny na próby manipulacji. Nie dziwota, że komuniści rozmawiali z Jastrzębiem, a później tolerowali zupełnie marionetkowe komiteciki w Tychach, a zwłaszcza w Bytomiu, gdzie cały Zarząd składał się z członków PZPR! Swoistym wyjątkiem był jeszcze MKZ w Tarnowskich Górach, ale on też był bardzo mały.

- **Przypomnijmy, że MKZ to skrót nazwy: Międzyzakładowy Komitet Założycielski NSZZ „Solidarność”.**

- Te nazwy początkowo ulegały różnym zmianom, co dla porządku też odnotowałem. Warto przypomnieć, że Częstochowa i Bielsko-Biała to były stolice innych województw, natomiast w ówczesnym województwie katowickim istniało pięć regionalnych central „Solidarność”. Trzy, jak już powiedziałem, bez znaczenia, czyli: Bytom, Tychy i Tarnowskie Góry oraz dwie duże: Jastrzębie-Zdrój, gdzie jednak do końca nie uporano się z oczyszczeniem z esbeckiej agentury i Katowice. Działalność katowickiego MKZ-etu była wielokrotnie szersza, aktywniejsza i odważniejsza niż pozostałych komitetów razem wziętych.

- **Znowu mi to zabrzmiało czymś w rodzaju samochwalstwa.**

- Wolałbym tego nie mówić i zdać się na obiektywny osąd, ale coś nikt się z nadmiarem obiektywizmu nie kwapi. Poza tym – formułuję jasno podsumowanie osiągnięć i błędów MKZ-etu Katowice w nadziei, że poznamy kiedyś sukcesy innych komitetów. Nasze osiągnięcia wynikały też z nadzwyczajnej aktywności kobiet, gdzie indziej marginalizowanych. Do wcześniejszej listy nazwisk dodałbym więc koniecznie młodzieńki siostry Janinę i Małgorzatę Kawalcówny, które dokonały rzeczy wręcz epokowej: stworzyły Regionalną Bibliotekę Wydawnictw Niezależnych, z której dumny był sam Mirosław Chojecki. Napisałem, że promieniowała z nich energia i to powtarzam: kobiety nas uskrzydlały odwagą i niezwykle pomysłami. Podobnie: niezawodny system łączności teleksowej i Ośrodek Prac Społeczno-Zawodowych – dzieła Jadwigi Chmielowskiej. To były bezcenne składniki naszej

działalności, pamiętane z większą sympatią i wdzięcznością niż nawet strajki, czy wiece, które jednak były koniecznym elementem walki o prawa pracownicze, a w konsekwencji – o prawa człowieka, o wolność.

- **Miałem nadzieję, że do największych sukcesów zaliczy Pan też „Tragedię Romantyczną”.**

- Ależ zaliczam! Tylko że o tym będzie dopiero w drugim tomie. Sam byłem najsilniej zaangażowany w organizację tego dzieła, bo już z wcześniejszej działalności, tej bardzo skromnej, ledwie zasygnalizowanej w opowieści o młodych latach, wiedziałem, że trwałe pozostają dokonania tylko w dziedzinie kultury. Wszystko inne można usunąć lub zniszczyć, a – żeby to nie zabrzmiało zbyt patetycznie – *pieśń ujdzie cało!*

I z tą mickiewiczowską inspiracją zabieraliśmy się do „Tragedii Romantycznej”, która do dziś jest uważana za jedno z największych dzieł teatralnych w całej historii Polski. Przypomnę, że najwspanialszy aktorzy odłożyli wtedy swoje bieżące zajęcia, by wielokrotnie przy wypełnionej do ostatniego miejsca hali „Spodka” grać dla publiczności, która nie wstydziła się płakać ze szczęścia i pewnie też trwogi. Pomysłodawcami i głównymi realizatorami tego przedsięwzięcia byli bardzo wówczas młodzi Mirosław Kin i Adam Gessler.

W ich wypadku młodość była akurat przeszkodą i bez naszego zaangażowania, w tym zwłaszcza Jacka Jagielki, niewiele by osiągnęli, bo nikt ich nie znał w PRL. Ale jak pojawił się Daniel Olbrychski, jak Niemen napisał muzykę, jak dowiedzieliśmy się, że przyjedzie również Kalina Jędrusik, Krzysztof Chamiec i inni znakomici artyści – wtedy nie było przeszkód, których nie zdołalibyśmy pokonać.

- Nie muszę dodawać, że partyjne media nie pozostawiły na was suchej nitki.

- Nie tylko partyjne. Zaatakował nas nawet „Tygodnik Solidarność” za rzekome... marnotrawienie społecznych pieniędzy na „takie nie wiadomo co”! Spuśćmy jednak na to zasłonę milczenia, choć niektórzy uczestnicy tamtej nagonki jeszcze pisują. Może tym razem napiszą prawdę?

- Jaką?

- Że choćby dla samej „Tragedii Romantycznej” warto było robić te strajki. To z tych spektakli w Spodku rósł na Górnym Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim duch, którego już nie zagasił ani stan wojenny, ani nędza końcówki PRL-u.

- Nadmiar optymizmu. Raczej będą Pana traktować po swojemu, co nie wróży niczego dobrego. Założmy, że w mediach wrócą wszystkie upiory, co zresztą częściowo już się dokonuje, że będą Pana smarować jak za najlepszych peerełowskich czasów. Czy w takiej sytuacji – podobnie jak kilku innych zaszczutych działaczy i twórców – nie wyjedzie Pan ponownie do USA?

- Nie, nie wyjadę. Gdyby to jednak ratowało życie, oczywiście nie zastanawiałbym się ani chwili. Tak było w roku 1987, gdy żona nie mogła liczyć na konieczne leczenie, bo takich usług medycznych dla zwykłych ludzi w PRL nie było, a cóż dopiero dla żony wroga komunistów. Teraz nic takiego nie powinno się przytrafić, więc nie rozważam żadnego wyjazdu. A do szczucia jestem tak przyzwyczajony, że dziwić mnie mógłby tylko jego brak.

- Czy powtórzyłyby Pan swoją ocenę, wyrażoną w pierwszym tomie? Myślę o dwóch zdaniach, które już powoli przechodzą do klasyki:

W III RP doskonale mają się elity jej twórców, nieliczni szczęściarze i ci, którzy osiągnęli majątek często drogą wielkich nieuczciwości, a nawet przestępstw. Cierpi natomiast naród, który na wolność swoją i lepsze życie postawił już w roku 1980, decydując się na wielomilionowe poparcie NSZZ „Solidarność”.

- Tak, powtórzyłbym i powtarzam. Tych zdań nie wymazuję, ale serdecznie nam wszystkim życzę, by jak najszybciej każdy mógł je zastąpić tekstem bardziej optymistycznym.



Andrzej Rozpłochowski, *Postawią ci szubienicę... NSZZ „Solidarność” MKZ Katowice 1980-81, t. 1, Biblioteka Encyklopedii Solidarności, Katowice 2011, Wydawca: Stowarzyszenie Pokolenie.*